

# Gołębiowski, Stefan

---

"Biały rękopis", Anna Kamieńska,  
"Tygodnik Kulturalny" 1970, nr 51-52 :  
[recenzja]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 200-202

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

kiedy po latach pracy przechodzimy na emeryturę. Wówczas zaczyna się walka z wolnym czasem, z którym nie wiadomo, co robić. Oczywiście nie wszyscy do pracy dodatkowej się nadają i nie należy nikomu jej narzucać. Zwłaszcza jeśli nad aktywność osobistą przekłada się życie wegetatywne.

Sprawa warta gruntowniejszego rozpatrzenia. Być może chwyci i powstaną inne obiekty, które do czasu ubezpieczenia wsi na starość zmieniają istniejące tu i tam domy w domy społecznej starości, dotychczasowemu zaniedbaniu i osamotnieniu na przekór.

## BIAŁY RĘKOPIS

„Tygodnik Kulturalny”, 1970, nr 51-52

Komu wypowiem, że znalazłem tę, którą znalazłem. Cóż bym uczynił, gdybym ciebie nie znalazł? — mówi do opuszczonej już zamurowany we śnie, po Norwidowsku zwolony. W splocie imion biblijnych: Anny i Jana. Ostatnim zbiorem przedśmiertnym była *Anna Śpiewaka*. Koresponduje z nim *Biały rękopis* Kamińskiej, po kobiecemu dyskretny, żeby imienia Najdroższego nie przywoływać nadaremno. Rękopis osobisty, nie dla każdego czytelny, w swej prawdzie wewnętrznej nie do wysłowienia. Na prawach poezji i życia. W tym leży jego autonomiczne prawo niepisane.

Białe rękopisy, jak są listy białe, które należy poddać pewnym zabiegom chemicznym, żeby z nich czytelność wydobyć. Z tą jednakże różnicą, że chemia naukowa tutaj na nic się nie przyda. Najwyżej można mówić z przejęzyczeniem o chemii uczuć czy współuczuciu.

Obwoluta Rękopisu wymowna jak wiersz. Puste miejsce po wyjętej fotografii. To jest ten Jan, który należał jedynie do Anny, jej druga połowa, jakby to powiedzieć po horacjańsku. Do nas należą inne Jany, ukryte w Śpiewaku, na jakiego nas stać w pamięci i w odczytaniu zamglonych oczu.

Tonacja trzech barw: białej, czarnej i zielonej. Biel — mogiła barw i oczy — powieki zielone wydobywające ze śniegu jakby nowe kwiaty czarne, w których śpią wszystkie barwy pogrzebane. Nie brak i światła, które tu i tam przelatuje w cichych błyskawicach odmiłkłych, jak nagle

rozdarcie źrenic. Barwy i światła z pogranicza snu i jawy, z marginesu dziewiętnastego trenu czarnoleskiego, bez objawienia. Stąd kabotyński Orfeusz i zaklęcia ludowe, nagie w swej prostocie, bez nalotów klasycznych: studnia, z której nawet własne echo nie może się wydobyć. Cała prawda kryje się bowiem w mogile. Oczy tracą widzenie: "oczy piasku źrenice, piasku i soli... ślepe".

W tym miejscu wkracza sfera muzyki przedustanowionej. Całość jedynie da się porównać z fugami, w których organy jakby przyciszyły pedał, żeby wydobyć lirykę najczystsza, bez zbrojnego dźwięku, z pogranicza głosu i milczenia. W coraz nowych wariacjach jednego i tego samego motywu na zasadach aluzji, napomknień, asocjacji, natrętnych myśli, tonów górujących. Jak w prawdziwych fugach, nie bez pobrzmień religijnych.

Nie darmo patronuje im jedyna postać wymieniona z imienia i nazwiska — Jan Twardowski, nie żaden czarnoksiężnik, lecz ksiądz i zarazem przyjaciel-poeta. Oczywiście jest to religijność swoista: zamiast łaski bożej, „gorzkiej ziemi pełna”. Pojawia się w nowej wersji Pieta-Maria, która „dłońmi ciepłiwymi upieszcza ciało na śmierci skuteczność”.

Jednak nie te komponenty górują, chociaż z nich jest jakby rytualne obmycie w wodzie (już sam nie wiem jakiej) — najbardziej wstrząsające. Nie z grzechów, lecz z całej doczesności, by ocalić opuszki palców, które mogłyby „lekkim wiatrem trwać na włosach mojej śpiącej żony”.

Motywy snu, łóżka, poduszki (wyobcowanej z drogiej głowy jak u Pawlikowskiej w innym kontekście), pustych rąk ze snu wydobytych, a mimo to jeszcze bardziej wymownych niż te z widzeń sennych. Nadlatują fotografie realne i ze wspomnień, które „dobijają się do oczu jak ómy to nie ty jesteś nie ty”.

Dwie pory roku we wspomnieniach górują: lato wczasowe utracone i zima wieczna. Podwójna, z mogiły grudniowej i z rękopisu śniegiem przyprószonego. Śnieg je łączy, a kiedy słońce z siebie wydobędziesz, wyrzy czerni. Nie sama. Pojawi się również ptaszek, zwiastun wiosny. Wyfrunął z malowanego talerza, a dziecko z łyżką goni go z całym nieprawdopodobieństwem. Dla jakiegoś wewnętrznego kontrastu, żeby uśmiech tym bardziej zasmucić wierszem cichym jak po ciężkim płaczu, w którym odezwał się krzyk ostateczny godziny przedzgonnej. Łzy mają smak krwi i dlatego są słone. „Nie potrzebna mi inna nieśmiertelność oprócz nieśmiertelności ciała”, a tymczasem ta nieśmiertelność została skazana na wieczną rozłąkę. I nie ma już innej wspólnoty, nie ma inne-

go zbliżenia, jak to: „skroń przy skroni, głowa przy głowie, ciasno spleceni małżeńskim słowa uściskiem”. Z tych domniemanych uścisków małżeńskich wiele się wymyka, nie daje uchwycić i czytelnik na innej płaszczyźnie przeżywa to, co autorka — niepochwytność wiersza, który nie z dzioba pióra, lecz z oczu umyka. W innej skali i w innym natężeniu. I to współuczestnictwo jest największym tryumfem *Białego rękopisu*.

W tej materii najbardziej wymowna wydaje mi się coda: Nic tu nie pogrzebano. I to nic okazuje się wszystkim. Zwyczajnie mówimy: wszystko i nic. O wiele wymowniejsze okazuje się: nic i wszystko. Kwintesencja bytu zamkniętego w sobie jak kamień szczelnie wyobcowany w sposób niewiarygodny i zarazem ostateczny.

To jest jedno dno poematu, które żyje w wierszach, w świątkach i w ich bożku opiekuńczym, w sprzętach pamiętliwych i w stole do pracy z „miejscem na łokcie i strudzone czoło”. I poza tym dnem istnieje drugie nie tyle dno, ile jak u Dantego jego odwrotność — wzniesienie „nowa rozkrzyczana wieża Babel” z „belkotem wszystkich ust żywych i umarłych”.

W tym rozgardiaszu języków *Biały rękopis* jest ich osobistym i osobliwym zaprzeczeniem z prośbą jakże wymowną: „Jeśli możesz jedną chwilę dłużej, zostaw mi ciszę po ostatnim słowie poematu”. A w słowie błagalnym do umiłowanego, który odszedł ma zawsze, a przecież wciąż jeszcze żyje, prośba ostateczna: „daj mi cierpliwość nieskończoności, wierność dumną nikomu niepotrzebną”. Tak mówi do męża, którego „każda linijka wiersza zdradza «jestem»”. Bez żadnego znaku.

---

Anna Kamińska: *Biały rękopis*. Czytelnik.

## POGODA OSOBLIWA

„Głos Nauczycielski”, 1972, nr 14

Pogoda w ostatnim zbiorze wierszy Mariana Kubickiego jest osobliwa, bo osobista, prawie że intymna, a także osobliwa w sensie właściwym jako zjawisko przyrody, wyraz żywej materii malowiejskich nawrotów.

„Płakały w Sanie wody za tymi, co byli”, „Czy tę krew obmyły już wody strumieni?”, „Stare krzywdy poszły za lasy, i jeszcze pytanie wcale